

Słucham

Po raz trzeci zadzwoniło tuż przed obiadem. – Ło, mówię, bo nie wiem kto, baba jakaś czy chłop. Słuchawkę odłożyło. Marek sięga na drugi koniec stołu, krawat w korniszony wkłada.

– Daj, naleję – mówię, bo obrus zmieniałam, a jeszcze mi rozleje. – Obrus zmieniałam – mówię, jak myślę, tak trzeba. Postusznie oddaje talerz.

– Ziemniaki młode kupiłam. Zjesz – mówię.

– Zjem – odpowiada bez sensu.

– No przecież mówię – mówię. – Natki sobie weź – zachęcam.

– Nie lubię.

– Weź, drobno pokroiłam, na krew dobra jest – tłumaczę, ale jemu to jak krowie na rowie. – Ktoś dzisiaj dzwonił trzy razy – zagajam.

Podnosi wzrok, błąd jak Najświętsza Panienka, ale spuszcza szybko i po korniszonach nim błądzi.

– Jehowi pewnie – wydusza słabym głosem, jakby mu jakaś kość utkwiła, a przecież połędwicę upiekłam, o żadnych kościach nie mogło być mowy.

– A pewnie i oni – mówię i do sałatki zachęcam – sałatkę weź – żeby tę kość, co jej nie ma, przegryzł jakoś. I po chleb idę do kuchni, bo chlebem jednak lepiej, stoję przy blacie i kroję, i wtedy dochodzi do mnie, że te jehowe to przecież nie dzwonią nigdy, tylko do drzwi pukają.

*

– Do drzwi pukają – mówię. I dodaję od razu – te jehowe – bo widzę, że nic nie rozumie.

– Nikt nie puka – zaprzecza.

– Jak nie pukają, jak pukają, o pokój na Ziemi pytają – nie chcę się z nim kłócić, ale muszę.

– Nie puka nikt przecież, mówię – mów i do drzwi biegnie, bo myśli, że to teraz, Jezu, jaki on jest tępy.

– Nie dzwonią jehowe, tylko do drzwi pukają – tłumaczę powoli – to nie one dzwoniły.

Teraz zrozumiał. Patrzy na mnie, wzrok znowu spuszcza, sos mu z brody skapuje.

○ obrus brodę wyciera, chociaż nowy dałam i od stołu wstaje.

– Wychodzę – mówi i wychodzi, robi, jak mówi, tak trzeba.

*

Wraca wieczorem. Kanapki na kolację już wyschnięte, wędlna się zawija do góry.

– Gdzie byłeś? – pytam.

– Nigdzie – odpowiada. Nie satysfakcjonuje mnie ta odpowiedź w ogóle.
– Jak to nigdzie? – pytam, bo przecież co to znaczy, że nigdzie? Jak nigdzie, jak nie ma nigdzie?
– No nigdzie – upiera się, ten upór jednak w nim cenię.
– Kanapki wyschły – mówię głupio, bo przecież widzi.
– Wędlina się zawija do góry – mówi głupio, bo przecież widzę.
– Zostaw, zrobię nowe – proponuję, bo przecież moglibyśmy tak w nieskończoność. Ja nie chcę się dziś klócić. Dziś już nie muszę.

*

Nad ranem dzwoni znowu.

– Słucham – mówię, bo nie wiem jeszcze, że nic nie usłyszę. Nic nie słyszę. To znaczy słyszę, tylko nie to, co bym chciała. Trzask słuchawki odkładanej, znowu.
– Dzwoniło znowu – trącam Marka, bo go nie obudziło.
– Niech se dzwoni – mówi i na drugą stronę się przewraca. Taki mądry, bo nie jego obudziło.
– Nie niech se dzwoni – skarzę się – bo mnie obudziło – mówię, co myślę, tak trzeba. I spać już nie mogę, bo ten znowu chrapie.

*

Po południu odbiera Marek.

– Słucham – mówi i milknie, żeby usłyszeć. Nic nie słyszy. Choć pewnie tylko ten trzask słuchawki odkładanej, jak myślę.
– Słucham, słucham – kpię z niego, nie wiem w sumie po co. – Trzasku pewnie tylko słuchasz – mówię.
– Trzasku – odpowiada.

*

Następnej nocy nie śpimy oboje, chociaż nic nie dzwoni. Kolejnej usypiamy, więc akurat dzwoni znowu. I potem oczywiście nie możemy usnąć.

Chodzimy bladzi, z workami pod oczami. Ziemniaki moglibyśmy w nich nosić, myślę i sama się z tej myśli śmieję, bo jakoś nikt nie chce się śmiać ze mną.

*

Po dwóch tygodniach Marek postanawia coś z tym zrobić.

– Zrobię coś z tym – mówi i robi, jak myśli. To jednak w nim cenię. Zakłada płaszcz i wychodzi.

*

Od tego czasu minęły trzy miesiące, a ja czekam, aż wróci. Czekam i nastuchuję, czy nie wraca. Słucham, czy nie przekręca się w drzwiach klucz, bo może wraca. I chociaż się nie przekręca, to ja już tylko tego nieprzekręcania słucham, bo odkąd poszedł, jakoś w ogóle nie dzwoni.